

karłowicz_07_03_demokratyczny millenaryzm

Rzeczpospolita, 17.03.2007

Rzeczpospolita, 17.03.2007

Demokratyczny millenaryzm

Dariusz Karłowicz

W latach 90. hasło końca historii miało nas pozbawić możliwości wyboru drogi modernizacji. Także i dziś nie słabnie tęsknota za rządami konieczności, która obwieszcza obywatelom swoje nieomyłne wyroki.

1.

Kiedy w latach 80 tych spotykałem mieszkańców zachodniej Europy zaskakiwała mnie ich obojętność wobec przeszłości. Sposób w jaki przeżywali politykę wydawał mi się gruntownie a historyczny - pozbawiony stałego wychylenia wstecz, które charakteryzowało nasze doświadczenie polityczności. W przeciwieństwie do nas, którzy jako problemy własne i współczesne przeżywalismy ideowe różnice okresu okupacji, międzywojnia, a nawet polskich powstań XVIII i XIX wieku - ich polityka działa się tu i teraz.

Kiedy myśmy rozpalali się do czerwoności Piłsudskim, Dmowskim i Sikorskim, ich zdumienie biorąc za dowód nieuctwa i braku horyzontów - oni ożywiali się dyskutując raczej o Kohlu, Reaganie i Thatcher niż Adenauerze, Roosevelcie i Churchillu o Cromwellu, Burbonach czy Bismarcku nawet nie wspominając. Historia była dla nas namiastką polityki, przeszłość stanowiła ersatz teraźniejszości. Przyzwyczajeni do życia w niewoli nie tylko nie potrafiliśmy wyobrazić sobie życia w wolnym państwie, ale obyczaje ludzi wolnych mieliśmy za gorsze i gorszące.

2.

PRL nie miał historii, bo historię - co oczywiste - mają tylko podmioty polityki. Tak jak czas jest miarą ruchu, historia jest miarą czynu. Dlatego luksus własnej historii posiadać mogą tylko wolne, suwerenne wspólnoty polityczne, wspólnoty, które działają - słowem twórcy politycznych dzieł (a nie materia z której te dzieła powstają).

Przedmiotom polityki pozostaje tylko życie cudze, zegar bijący na ratuszu suwerena. Nie chodzi o to, że wspólnoty nie suwerenne istnieją poza historią, ale, że są elementami historii cudzej.

W tym sensie historia PRL-u stanowi podrozdział politycznej historii ZSRR - której poza historią rodzinną i prywatną wydarto niewiele: wyspy pisanych z dużej litery polskich miesięcy, antykomunistyczną partyzantkę, obchody milenium, historię polskiego Kościoła, opozycję demokratyczną, miesiące Solidarności, skrawki dziejów niezależnej kultury. W sumie niedługie okresy podmiotowości i pojedyncze wątki, które tworzyły historię tak krótką, że jeszcze w latach 80-tych czymś nieledwie współczesnym wydawała się polityka międzywojnia czy rzeczywistość tragicznej eksplozji politycznej suwerenności w Warszawie 44. Skoro podmiotowość, która pozwala tworzyć historię obdarza zarazem terażniejszością - wspólnoty nie suwerenne muszą żyć wspomnieniami, albo, co gorsza, zmyśleniami.

3.

Nie jest dziś wyjątkowe przekonanie, że w 1989 roku nie weszliśmy w nurt historii, że zamiast skąpać się w niej po uszy, weszliśmy w nią tylko jedną nogą, połowicznie - wciąż z nadzieją wypatrując łódek niesionych cudzym nurtem. Na liście najważniejszych pojęć lat 90-tych podmiotowość, suwerenność polityki i kultury, tożsamość, interes narodowy czy racja stanu przegrały z ideami związanymi z transformacją ustrojową i gospodarczą. Próbę odpowiedzi na pytanie skąd idziemy i dokąd zmierzamy, pytanie jak w nowych warunkach zamierzamy realizować swoją tożsamość - zastąpiła pasja imitatorska (doganianie, dopasowywanie się, dostosowywanie etc.).

Ma to oczywiście pewien związek z doświadczeniem ogólniejszym niż polskie, które - jako koniec historii - językiem Kojeva i Hegla zapisał Francis Fukuyama. Skala i gwałtowność upadku komunizmu przywołała na myśl wizje raczej eschatologiczne niż politologiczne, co wydawało się otwierać perspektywę jakby pozahistorycznego czasu. W nadchodzącej epoce wymarzonego przez Kanta wiecznego pokoju wielu wydawało się, że przygoda politycznego rozumu skończyła się na dobre. Skoro zaś dzieje polityczne osiągnęły swój kres, to jedynym co pozostaje do zrobienia są zadania dla maruderów, którzy najkrótszą i dobrze znaną drogą mają doszlusować do rozumnego oceanu trwania.

Gwałtowna krytyka, którą przyjęto tezy Fukuyamy nie powinna przysłonić faktu, jak dobrze odzwierciedlają one dość rozpowszechnione mniemanie dziedziców zachodniej cywilizacji, rodzaj pop heglizmu głoszącego, że - cokolwiek to znaczy - obecny model polityczny zachodu stanowi rozumny kres ewolucji ustrojowej świata. Jako taki może on po pierwsze podlegać korektom raczej niż głębokim przeobrażeniom, po drugie stanowi uniwersalny wzorzec dla innych, którzy jak się często sądzi znajdują się na wcześniejszych etapach rozwoju.

Kto nie wierzy niech weźmie pierwszą z brzegu europejską gazetę i zobaczy jak poważnie traktuje się tam przekonanie, że model własny stanowi wzorzec ustrojowego metra, a historia politycznego postępu, opisuje etapy upodabniania się świata do porządku obowiązującego w mieście gdzie znajduje się redakcja tej właśnie gazety.

Rzecz jasna dla nas od wizji demokratyczno-liberalnych pop-heglistów ważniejsza jest polska wersja doktryny końca historii, ów polski millenaryzm, który stanowił ważny składnik ideowej otuliny transformacji. Choć dziś jest to koncepcja trochę zapomniana i pozbawiona głośnych obrońców - a i w przeszłości jak chcą niektórzy traktowana raczej instrumentalnie - to jest ona ciągle godna uwagi bo, podobnie jak wizja Fukuyamy, nie tylko posiada spory krąg wiernych i wpływowych wyznawców, ale dla bardzo licznej rzeszy nadal stanowi żywe kryterium oceny rzeczywistości politycznej. Pozostawienie wspólnoty politycznej poza strumieniem historii, i nasze ciągle problemy z podmiotowością - a więc sprawy, z którymi zmagamy się do dzisiaj - pozostają z nią w ścisłym związku.

5.

Niesuwerenność, brak podmiotowości wspólnoty politycznej może przyjmować zarówno formę okupacji jak i pewnych form złych (choć formalnie suwerennych) rządów np. oligarchii czy despotii. Jednak na poziomie kultury - zinterioryzowana przez wspólnotę - niesuwerenność zawsze wyraża się ideą rządów konieczności. Trudno wątpić, że obecny w krwioobiegu język konieczności, to dużo pewniejsza metoda paraliżowania podmiotowości od zawodnych przecież wojska czy tajnej policji. Potencjał podmiotowości kryje się w przekonaniu, że może być inaczej, i że to od nas - przynajmniej w jakimś stopniu - zależy jak będą się sprawy miały. Gdy ta myśl znika mamy do czynienia z niewolnikiem idealnym - z niewolą uwewnętrzną. Pierwszy krok w nurt historii polega na odkryciu możliwości wyboru, na uświadomieniu sobie wielkiej różnorodności możliwych scenariuszy i wreszcie, co bardzo ważne, na konstatacji ich wzajemnej niezgodności.

Jest to odkrycie niemożliwych do zażegnania sprzeczności pomiędzy konkurującymi wariantami marszruty i celów - bolesne odkrycie faktu, że wybór nie daje się podjąć na drodze uzgodnionej w ramach jakiejś intersubiektywnie akceptowalnej procedury, w sposób który zdejmie z nas odpowiedzialność za ryzyko - przekładając je na barki władców, ekspertów czy pisanego z dużej litery rozumu.

Dlatego choć nic nie zwalnia nas z używania inteligencji, pamiętać należy, że polityczny rozum obdarza nas prawdopodobieństwem, a nie pewnością, że wielu obszarach musimy zdać się na wierność sobie, poczucie smaku czy wiarę i mimo tak niepewnych podstaw działać biorąc odpowiedzialność również za fatalne skutki swoich wyborów. Warunkiem suwerenności jest świadomość, że losem podmiotów politycznych jest konflikt racji i interesów, a działaniu nieodłącznie towarzyszy ryzyko, które można i należy pomniejszać, ale, którego niepodobna wyeliminować.

6.

W tym sensie projekt transformacyjny, przedstawiający pewien model demokracji i rynku jako jedyny i nie podległy negocjacji wzorzec do którego - co więcej - prowadzi tylko jedna droga próbował niemożliwego - miał zaprząć język konieczności do budowy wolnego państwa. Czy w ogóle nie widziano tu problemu, czy też zakładano, że modernizacja miała poprzedzać podmiotowość, (która tymczasem miała zadowolić się apolityczną sferą rzeczywistości "pozarządowej") trudno dziś orzec. W tej sprawie opinie architektów były chyba dość różnorodne.

W każdym razie polityczna wolność miała być, przynajmniej na czas przemian, rodzajem "uświadomionej konieczności" celów, metod i kosztów modernizacji - i szło nie tylko o zasadnicze kierunki, ale i o najbardziej szczegółowe rozwiązania. Niepodległość nie zaowocowała wolną debatą ani nad przyszłym kształtem Polski, ani nawet nad sposobami działania, które doprowadzą ją do tego celu. Jako całkowicie bezalternatywny przedstawiano zarówno konkretny program reformy gospodarczej (inne były uważane po prostu za nierozumne), jak i transformacji ustrojowej. Związek władzy, racjonalności i doskonałych wzorców tworzyć miał wrażenie projektu, który w opozycji może mieć tylko głupców. Dziedziny tak spekulatywne jak ekonomia, prawo, ustrój polityczny przedstawiano jako systemy prawd, które nie podlegają żadnej dyskusji. O wszystkim orzekać mieli eksperci - kapłani konieczności, a pytanie o koszty przemian brali na siebie Panglossowie transformacji zawsze gotowi dowieść, że żyjemy na najlepszym ze światów, i że ci, którzy zanadto przejmują się "kosztami przemian" (jak nazywano niezbędne rzekomo ofiary transformacji, np. rolników z PGR-ów, pewną część emerytów, bezrobotnych, ofiary rosnącej w siłę mafii i skorumpowanej biurokracji, ale również panoszący się przemysł porno czy narkomanie) mają z pewnością kłopoty z przyjęciem "wielkiego daru wolności".

Każdemu, kimkolwiek by nie był ekonomistą czy papieżem, a kto brał pod uwagę jakieś alternatywy, rozwiązania uwzględniające lokalne tradycje bądź kontekst natychmiast przyklejano etykietę fantasty jeśli nie głupca, który w swojej pysze chce budować jakąś trzecią drogę. Czy trzecia droga może gdzieś zaprowadzić, czy w ogóle istnieje - powtarzano. "Pytanie - rzucał sarkastycznie pod adresem Jana Pawła II jeden z agentów konieczności - sprowadza się w końcu do tego, czy Polska ma eksperymentować, szukać jakiejś "trzeciej drogi" (...) Czy

będzie lepsza od innych, które zawiodły, dlatego, że jest polska?"

Pytanie skądinąd bardzo zabawne, bo każdy kto ma choć minimalną wiedzę o rzeczywistości politycznej wie, że w empirycznym świecie istnieją wyłącznie trzecie drogi - i konia z rzędem temu kto znajdzie gdzieś pierwszą lub drugą.

7.

Inną ważną cechą silnego w początku lat 90 tych polskiego przecucia końca historii była wizja nadchodzącej ery braku zasadniczych konfliktów. (W polityce zagranicznej, którą nie będę się tu zajmował występowało ono pod postacią obrazu rodziny narodów tak harmonijnej i bezinteresownej, że sama myśl o jakimkolwiek partykularyzmie stanowić miała głęboki nietakt). W sprawach wewnętrznych była to - jak pisze charakteryzując ten rodzaj zsekularyzowanych tęsknot religijnych Norman Kohn - millenarystyczna perspektywa utworzenia wspólnoty stanowiącej "jednomyślną, bezkonfliktową zbiorowość". Demokracja urzeczywistniona i pożądana rysowała się nie jako instytucjonalizacja konfliktów, ale jako ich zakończenie. Widać to doskonale w traktowanej jako realny projekt polityczny moralistycznej wizji duchowego pojednania z PRL-owskim aparatem władzy i represji - pojednania między katami i ofiarami. Budowanie platformy moralnej jednomyślności, która stanie u podstaw historycznego kompromisu, wspierała wizja politycznej apokatastazy, gdzie rozdarta rzeczywistość polityczna powraca do stanu utraconej jedności. Jedność ta, przekraczając porządek dotychczasowej polityki unieważnia i zamazuje dawne podziały - co więcej ukazuje wczorajszych wrogów jako nieświadomych tego faktu sprzymierzeńców. Ich sprzeczne na pozór

postawy i działania z nowej perspektywy okazywały się sprzecznościami pozornymi, różnymi formami dążenia do tego samego celu.

Z tej perspektywy Mieczysław Rakowski od zawsze budował demokrację, Ireneusz Sekuła tworzył wolny rynek, Aleksander Kwaśniewski oddawał się działalności społecznej, Wojciech Jaruzelski dążył do niepodległości - zaś PRL en bloc był po prostu pewnym (wcześniejszym) projektem modernizacji Polski. Ten sposób myślenia wyrażał się nie tylko w praktycznym projekcie zbudowania trwałej konstrukcji na fundamencie okrągłego stołowego kompromisu. Widać go również w głoszonej z powagą (przez najwyższe autorytety lat 90-tych) koncepcji końca epoki podziałów na lewicę i prawicę, czy pojawiającą się na samym początku przemian wizję demokracji bez partii, względnie demokrację jednej tylko partii czy ruchu społecznego nowego typu (co, swoją drogą stanowi mocny argument za tym, że w wielu istotnych wymiarach imitowany rzekomo wzorzec zachodniej demokracji istniał tylko w wyobraźni architektów polskich przemian ustrojowych).

8.

Ten millenarystyczny nastrój "końca historii" odnajdujemy również w koncepcji uzasadniającej brak lustracji - gdzie już bez osłonek racje polityczne (jak bezpieczeństwo państwa czy integralność dyskursu o sprawiedliwości) zastępowano dość mętnymi zresztą racjami religijnymi. Rzecz zasługuje na uwagę jako interesująca i po części udana próba wprowadzenia w obszar państwa elementów teokratycznych.

Czym innym bowiem była idea bezpośrednich rządów religijnego imperatywu miłosierdzia, jeśli nie urzeczywistnieniem pomysłu budowania porządku politycznego na nakazie postawy heroicznej, którą tradycja chrześcijańska uważa za jeden z podstawowych przejawów świętości. O tym, że jest to pomysł przypominający polityczne koncepcje wcielane w życie we Florencji Savonaroli, mówić nawet nie trzeba.

9.

Choć w kulturze katolickiej Polski ten rodzaj teokratyzacji polityki wywoływał niemały zamęt pojęciowy, to nie ma przecież wątpliwości, że doktrynalnie była ona mówiąc najdelikatniej dość ryzykowna. Zamęt powiększał fakt, że argumentacją tą posługiwała się strona nie tylko gwałtownie krytykująca Kościół za nadmiar politycznej pasji, ale strona, która podkreślając swój dystans do Kościoła zdawała się ewangelicznym radykalizmem przelicytowywać oziębłych katolików. Mówiąc trochę żartem miejsce Polaka-katolika zająć miał żarliwy Polak-millenarysta - a więc Polak nowej ery stanowiący za jednym zamachem kryterium chrześcijaństwa, europejskości, tolerancji, właściwej postawy obywatelskiej i oczywiście nowoczesności. Ciekawe jak rzadko zwracano wówczas uwagę na fakt, że ten polityczny projekt, który wznoszono na fundamencie darów Ducha Świętego (w argumentacji hojnie szafując Ewangelią) poważnie narusza autonomię sfery politycznej - i jako taki nie tylko nie mieści się w koncepcji świeckiego państwa, ale i w nauce społecznej Kościoła.

Nie od rzeczy będzie też przypomnieć, że polski millenaryzm posługiwał dość śmiało nieznaną katolicyzmowi koncepcją miłosierdzia i sprawiedliwości - gdzie sprawiedliwość utożsamiano z zemstą, nie widząc w niej formy miłosierdzia, a miłosierdzie traktowano nie jako zadanie i łaskę, ale dostępną dla każdego możliwość, ba zwykły obowiązek. Po trzecie wreszcie, że millenaryzm ten jak wszystkie projekty utopijne był oczywiście pelagiański - kierował się bowiem przekonaniem, że posługując się środkami politycznymi, edukacyjnymi i propagandowymi można (tu i teraz) wymusić na społeczeństwie cnoty heroiczne i przekraczając porządek skażonej grzechem natury zbudować jedność nie tylko bezgrzeszną, ale - w pewnych aspektach - świętą.

Rewolucyjna gorączka i gwałtowna walka z wrogami (w tym zwłaszcza z wyrosłymi na głównych przeciwników oziębłymi i pozornymi chrześcijanami, którzy nie kwapili się do przyjęcia orędzia nadchodzącej ery jedności i zgody) dopełniają wizji, pod wieloma względami, typowego ruchu millenarystycznego. Katolicki problem z tego typu zjawiskami jest zawsze ten sam - zamiana eschatologicznej nadziei na usunięcie skutków grzechu pierworodnego, w program polityczny bywa na ogół nie tylko dowodem braku realizmu. Doraźnie skutkuje zwykle niechęcią wobec wolności, przywilejami dla wybranych, brutalnością wobec wrogów, obojętnością dla ofiar, które trzeba złożyć na ołtarzu sprawy i wreszcie lekceważeniem wobec sprawiedliwości, która w promieniach nadchodzącej epoki Ducha wydaje się czymś przebrzmiałym i nieaktualnym.

Czy millenaryzm lat 90-tych nie był tylko zasłoną dymną stworzoną na potrzeby projektu transformacji, która pozwoli na gospodarczą i ustrojową modernizację, a zarazem nie naruszy żywotnych interesów postkomunistów? Biorąc pod uwagę okoliczności i interesy stron można go tak właśnie traktować, ale też poważnym błędem byłoby negowanie jego etycznego czy parareligijnego patosu.

O ile wątpię by gen. Kiszczak i jego "ludzie honoru", prywatyzujący się towarzysze, różni "nieznani sprawcy", przebrani za kaznodziejów byli agenci w typie Szczypiorskiego czy Maleszki, czy wreszcie wchodzący w struktury bankowe ex-komuniści bardzo poważnie traktowali wizję politycznej apokatastazy, to, sądząc po stopniu najwyższej egzaltacji, szczerść wielu ówczesnych proroków wydaje się nie ulegać kwestii. W tej sprawie wystarczy zajrzeć do czytelni czasopism. Przez litość oszczędzę cytatów.

11.

Czy projekt ten się udał? W tej części w której stanowił tylko zasłonę dymną dla postkomuny udał się prawie doskonale. W części w której był projektem modernizacyjnym udał się połowicznie - a więc w stopniu, w którym w ogóle może udać się robiony odgórnie projekt modernizacji bez podmiotowości. Choć trudno lekceważyć istotne dokonania, to przecież konstruktywistyczny, narzucony bez dyskusji i namysłu nad rzeczywistością model ustrojowy nie mógł stać się niczym więcej niż proceduralną demokracją, która istnieje i jakoś działa, ale z pewnością ani ziębi ani grzeje. Robiona odgórnie przebudowa i parasol rozciągnięty nad postkomunistami skutkował oligarchizacją państwa,

schizofrenią dyskursu o sprawiedliwości i rynkiem spętany siecią koncesji. Wizja rządów konieczności, która zaowocowała cyniczną nauką o wiórach transformacji (np. rolnikach, emerytach czy tzw. budżetowce) musiała zakładać częściowe przynajmniej zawieszenie ideałów solidarności. Nic dziwnego, że to właśnie postulaty demokratyzacji, większej spójności dyskursu o sprawiedliwości i powrotu do idei solidarności legły u podstaw politycznego końca tego projektu.

12.

Gdy mowa o jego utopijnej sferze millenarystyczny projekt doznał rzecz jasna bolesnej porażki. Jej przyczyny może wytłumaczyć każdy kto choć trochę zna historię filozofii czy choćby Katechizm Kościoła Katolickiego. Jednak fakt, że bezkonfliktowa wspólnota narodowej zgody nie powstała i nie powstanie - nie pozwala ignorować wpływu tej milenarystycznej nadziei na kształtowanie się pewnych politycznych tęsknot i wyobrażeń. W głowach wielu przetrwała ona jako niespełnione, choć realne marzenie. Widać to nie tylko w widocznej na każdym kroku tęsknocie za moralnym komfortem jednomyślniej i bezalternatywnej rzeczywistości lat 90-tych, ale również w niektórych uduchowionych wizjach zwolenników nowego początku, członków niewielkiego, ale - jak twierdzą wrogowie - wpływowego kręgu millenarystów prawej fali (gwałtowne spory obu sekt, to jedno z najżałośniejszych widowisk politycznych obecnego czasu).

Trudno wątpić, że millenaryzm to jedno z zasadniczych źródeł politycznego infantylizmu, tej niesłabnącej ciągle tęsknoty za rządami konieczności, która codziennie obwieszcza obywatelom swoje

nieomyślne wyroki. To między innymi stąd właśnie czerpie soki tak dobrze znany ton żalu do rzeczywistości politycznej pełnej spornych racji, do świata realnych i głębokich konfliktów interesów i wartości, ów ton pretensji do rzeczywistości niełatwej do zrozumienia, zmuszającej do samodzielności, do ryzyka i do wyboru.

Mówię o politycznym infantylizmie, który stale rozgląda się za kimś kto zdejmie z niego nieznośny ciężar podmiotowości, kto powie jak się zachowywać, co wypada i co jest konieczne - a więc za kimś kto znowu pozwoli wyjść na brzeg historii.